

ZYCIE UNIWERSYTECKIE I ŚWIAT LITERACKI

I. Życie uniwersyteckie. *Salamanca, Alcala i uniwersytety „wielkie”*. — *Organizacja uniwersytetu. Nauczanie. Egzaminy i nadawanie stopni naukowych*. — *Życie studentów. „Wielkie kolegia” i bursy. „Studentka mizeria”*. — *Zabawy i rozrywki. Otręsiny i burdy*. — *Upadek uniwersytetów*

II. *Świat literacki. Blaski i mgły życia pisarza: Lope de Vega*. — *Zamítowanie do literatury i akademie poetyckie. Wyráftnowanie języka literackiego: konceptyzm i kultyzm*

W „wywodzie o oręzu i piórze”, włożonym w usta Don Kichota, Cervantes przeprowadza paralelę pomiędzy trudami i nędzą, jakie są udziałem studenta i żołnierza, aby w końcu stwierdzić, że żołnierz więcej musi wykazać wytrwałości i więcej ma zasługi. I studenci jednak, i żołnierze byli współtwórcami Wieków Złotego, ale podczas gdy sława hiszpańskiego oręza powoli zamiera na europejskich polach bitew, kraj ten nie traci przewagi nad przeciwnikami dzięki hegemonii swojej kultury. Sławę Hiszpanii, po żołnierzach i dowódcach *tercios*, godnie podtrzymają z kolei dawni studenci z Salamanki i Alcali.

I

Omnium scientiarum princeps Salamanca docet (Salamanca, pierwsza w nauczaniu wszelkiej wiedzy). Dumna ta dewiza miała należyć do uzasadnienia: był to nie tylko najstarszy uniwersytet hiszpański, ale też uczelnia ciesząca się, pod koniec wieków średnich, wyjątkowym autorytetem wśród swoich rywali. Dopiero nagły pęd do kultury, będący odbiciem entuzjazmu, jakim zaraził Europę renesans, zrodził nowe fundacje w epoce królów katolickich i Karola V. Na przestrzeni niecałego stulecia powstało około dwudziestu uniwersytetów; i nie tylko wielkie i stare miasta — Orpessa, Beaza, Saragossa, Walencja, Toledo, Sewilla — ale też małe miejsciny — Orpessa, Beaza, Osuna oraz wiele innych — pragną czepać z odrodzonych źródeł kultury.

Jednakże tylko jeden z nich może współzawodniczyć z Salamanką: mianowicie uniwersytet założony na początku XVI w. w Alcalá de Henares przez kardynała Ximeneza de Cisneros, arcybiskupa Toledo i kanclerza Kastylii. Organizacja uczelni i ożywiająca ją tendencje intelektualne czynią z niej twór charakterystyczny dla nowej epoki: demokratycznemu duchowi uniwersytetu w Salamance przeciwstawia ona organizację silną i centralistyczną, która wyraża się we władzy przyznanej rektorowi, mianowanemu przez arcybiskupa Toledo i reprezentującemu władzę królewską; program nauczania, zaniedbując prawo cywilne, zwraca się głównie ku teologii (wspomagając reformę Kościoła hiszpańskiego, jaką podjął Cisneros) i studiom nad literaturą klasyczną, które obejmowały również grekę, język hebrajski i filologiczną analizę tekstów. Kiedy w połowie XVI w. Madryt, odległy zaledwie o dziesięć mil, zostaje stolicą państwa, Alcalá korzysta na tym sąsiedztwie i zyskuje nowe przywileje od panujących; napływają liczni studenci i wokoło Kolegium Św. Ildefonsa, które było zalążkiem nowego uniwersytetu, powstają inne, budowane przez największe zakony. W ciągu półwiecza mała średniowieczna miejscina, stłoczona w swoich ciasnych ceglanych murach, stała się, wedle słów Erazma, „skarbnicą wszelkich nauk”, a jej autorytet promieniuje na całą Hiszpanię, a nawet inne kraje europejskie.

Inne uniwersytety, choć nie dorównują sławą dwu wyżej wymienionym, zachowują jednak lub wzmagają swoją żywotność: Saragossa przyciąga studentów z Aragonii; Walencja dumna jest ze swego wydziału lekarskiego, a w samej Kastylii nawet bliskość Salamanki nie może zaciemnić Valladolidu, gdzie wyżej stoi studium prawa rzymskiego i prawa krajowego. Natomiast pomniejsze uniwersytety, zrodzone z entuzjazmu odradzającego się humanizmu, wiodą dość marny żywot; stopnie naukowe, jakie niektóre z nich pochopnie przyznają, aby przywabić studentów, deprecjonują się, i trzy uniwersytety „wiejskie” (*silvestres*), w Siguenza, Oñate i Osuna, są w XVII w. przedmiotem wielu żartów: „Gdzie odbywałeś studia?” — pyta z irytacją zacny Sanczo Pansa, kiedy został wielkorządcą wyspy Baratarii, a lekarz, mający czuwać nad jego zdrowiem, kazał mu, w imię Hipokratesa, wyrzekać się wszystkich smakowitszych dań, jakie zjawiały się na stole. „Ja, panie wielkorządcu — odpowiada lekarz — stopień doktora uzyskałem na uniwersytecie w Osuna.”¹

Różnaita geneza tych uniwersytetów — tworzyli je papieże lub królowie, inicjowały władze miejskie, wyposażały osoby prywatne — sprawiała, że nie miały jednolitej organizacji. Wszędzie jednak tradycja narzucała te same metody nauczania i tę samą hierarchię stopni naukowych. Poza tym Salamanka, z racji swej starożytności, cieszy się nadal przewagą moralną i niektóre punkty jej „konstytucji” rozciągano —

badz dobrowolnie, badz z rozkazu królewskiego — na inne ośrodki uniwersyteckie; poza tym ma ona znaczną przewagę liczebną nad innymi uczelniami, gdyż ściągają tam studenci ze wszystkich okolic Hiszpanii; jest ich 7000 w 1584 r., gdy Alcala, bardziej arystokratyczna, nie przekracza 2000 w okresie swego najwęższego rozkwitu. Z wszystkich tych powodów Salamanca narzuca swój styl wszystkim uniwersytetom hiszpańskim i „student z Salamanki” na pewno był w życiu, podobnie jak w literaturze ówczesnej, najpełniejszym wcieleniem tego typu.



Dla studenta uniwersytet jest nie tylko uczelnia, lecz i jak gdyby jego własnością, gdyż przyznawane studentom przywileje zapewniają im znaczną nad nim władzę. *Pragmatyka* z Santa Fe, która wydała w 1492 r. królowie katolicy, stwierdza, że studenci nie podlegają sądom zwyższajnym, jurysdykcję nad nimi sprawuje bowiem „scholastyk” mianowany przez papieża; zadaniem jego jest bronić studentkich praw i przywilejów, jak zwolnienie od służby wojskowej oraz od wszelkich podatków. Rektor dba o sprawy materialne wspólnoty uniwersyteckiej i zarządza jej dochodami; wybiera go, na jeden tylko rok, komisja z zona po połowie z profesorów i studentów, których wyznacza spośród siebie koleddy. Rektor jest zawsze studentem, a chcąc dodać temu tytułowi blasku, jakim darzy wysokie urodzenie, szukano zazwyczaj kandydata wśród potomków najwęższych rodów; na przykład Gaspar de Guzman Olivares, później wszechwładny minister Filipa IV, został w początkach XVII w. rektorem w Salamance.

Profesorów nie dobierała inni profesorowie, lecz sami studenci w trakcie publicznego konkursu, w którym współzawodniczą z sobą kandydaci do danej katedry. Oficjalnie czyniono wszystko, aby wykluczyć tu intrzygi i przekupstwo: „...rozkazujemy — oświadcza królowie katolicy w jednym z rozporządzeń z 1494 r. — aby żadna osoba wchodząca lub nie wchodząca w skład naszych uniwersytetów, jakiegokolwiek byłaby stanu, kondycji lub godności, nie ośmieliła się publicznie lub potajemnie wpływać na osoby mające głosować w sprawie przyznania katedry lub też podarżkami jednać sobie głosy studentów, wpływając na nich prośbą lub groźbą, wprost lub przez pośredników”. Precyzując w następnym roku sposoby wprowadzenia w życie powyższych środków, monarchowie wymieniają najczęściej stosowane praktyki: tworzenie „stronictw” na rzecz danego kandydata, przyrzekanie podarżków lub gotówki albo też dawanie „muitów, niewolników, klejnotów lub posiadłości ziemskich, żeby kupić głosy lub uzyskać od kogoś wycofanie kandydatury”; Środki te okazały się bezskuteczne, czego dowodem, że przypominali je często

w swoich późniejszych zarządzeniach Filip II i Filip III. Zbyt wielu studentów żyło w biedzie, w ciągłej, codziennej walce o byt, nie wiedząc, czy nazajutrz będą mieli co do ust włożyć, aby nie ulec interesownej hojności pod postacią podarków albo też suto zastawionego stołu. Istniał jeden tylko środek, do którego uciekł się w 1624 r. Filip IV: powierzył on mianowanie profesorów w Salamance, Valladolid i Alcalá radzie Kastylii, która miała brać pod uwagę wyłącznie zasługi i tytuły naukowe kandydatów.

Ogólnie biorąc, nauczanie pozostało wierne średniowieczu, zarówno w treści, jak metodach; wydział sztuk wyzwolonych otwierał dostęp do wydziałów specjalistycznych: teologii, prawa cywilnego i prawa kanonicznego oraz medycyny. Profesorowie „czytają” swe wykłady (dlatego czasem nazywano ich lektorami) albo je uczniom dyktują. Obowiązani są też do pewnej formy obcowania z uczniami, dzięki czemu nauczanie traci w pewnej mierze swój wyłącznie dogmatyczny charakter i nie ogranicza się do wykładu *ex cathedra*: winni oni „opierać się o kolumny” (*asistir al poste*), to znaczy po wykładzie czekać w krężankach uniwersytetu na uczniów, którzy chcieliby prosić o jakieś wyjaśnienia. Ta daleka reminiscencja arystotelickiego Portyku umożliwia studentom kontakty naukowe z profesorami, co zapewne przynosiło wielkie korzyści. Toteż Enrique de Guzmán, w instrukcjach, jakie w bezosobowej formie układa dla syna udającego się na studia do Salamanki, poleca mu wyciągnąć z tego zwyczaju odpowiedni pożytek: „Wychodząc z wykładów postara się wysłuchać przy kolumnie, jakie też wątpliwości dają jego współuczniowie do rozstrzygnięcia mistrzowi, bo w ten sposób pojmie omawiane trudności i lepiej zrozumie wykładany przedmiot, co zachęci go do sumiennych studiów, aby i on z kolei mógł z mistrzem dyskutować”.⁵

W pierwszej połowie XVI w. oddziaływanie humanizmu i znaczny wpływ Erazma doprowadził był do rozszerzenia horyzontów myślowych i do rozwoju nowego kierunku umysłowego, który przeciwstawił się scholastycznemu formalizmowi. Ale od panowania Filipa II począwszy, z obawy, żeby „nowinki” nie skaziły prawowierności katolickiej, rodzi się wielka nieufność wobec wszystkiego, co wykracza poza tradycję, i prześladowanie przez inkwizycję niektórych profesorów z Salamanki — był wśród nich np. brat Luis de León — staje się poważną przestrogą dla tych, którzy przejawiają pewną niezależność w stosunku do metody scholastycznej. Po wspaniałym rozkwicie, jaki panował przez trzy ćwierci XVI w., obserwujemy pewien zastój: uniwersytety powracają do ścisłego przestrzegania dawnych statutów, a te nakazywały, aby każdy profesor wykladał w duchu mistrza, którego imię nosiła jego katedra, a więc w duchu św. Augustyna, św. Tomasza, Dunsza Szkota oraz, od początku

w. XVII, jezuita Suarez. Stało się to początkiem gwałtownych sporów, jakie wiedli z sobą, zarówno na wykładach, jak w dysputach publicznych, mistrzowie należący do różnych zakonów; ślepo podtrzymywali oni nauki św. Augustyna, św. Tomasza albo Suareza, w zależności od tego, czy należeli do zakonu augustianów, dominikanów czy też jezuitów. W najbliższych nawet kwestiach pasja dysputowania wedle zasad scho-lastycznych wyrażała się czasem w gorszące wybryki: „Pomiędzy angu-stianami i trynitarzami z Salamanki rozgorzały wielkie spory — pisze Barrionuevo. — Doszło nawet do bitki, policzkowania się i kopniaków. Chodziło o to, czy Adam pozostał istotą niezupelną, kiedy Bóg wyjął mu jedno żebro, i czy zagębenie, z którego je wyjął, uzupełnione zostało tylko ciąłem.”⁴

Dysputy publiczne, w których ścierała się z sobą mistrzowie i docto-ry, podtrzymywani przez *vitores* (brawa) swoich uczniów, stanowiły ważne daty w życiu uniwersyteckim, podobnie jak egzaminy na stopnie bakałarza, licencjata i doktora. Nadawanie ich stało się okazją do zabaw, w których uczestniczyli całe miasta, a których wszelkie szczegóły drobiaz-gowo wylicza *Ceremonial*, stanowiący rytualną księgę uczełni. Dramato-pisarz Ruiz de Alarcón, pod koniec XVI w. student w Salamance, wy-kazuje, że stopień licencjata siono kandydatów kosztował: wydawali na „podarku” (*propinas*) dla scholastyka, pedłów, a nawet egzaminatorów, na gratyfikacje dla wszystkich, którzy w rozmaity sposób przyczyniali się do podniesienia blasku uroczystości, jak mistrz ceremonii, robotnicy stro-jący kobiercami front uniwersytetu, dobosze i trębacze, dzwonnicy. Ale najwięcej kosztuje niewątpliwie uczta dla całego fakultetu, której prze-bieg i jadłospis szczegółowo przewiduje *Ceremonial*; „Salata winna być przyrządzona z rozmaitego gatunku owoców, jarzyn, cedratów, konfitur, kakoci, smazonych czeresni, jaj i innych artykułów wchodzących w skład salaty królewskiej [...] Po sałacie podaje się jaja [...] Po jajach przychodzi potrawa z dziczyzny, jaka jest akurat w tej porze roku najprzedniejsza, jako to przepiórki i kurapatwy, a także kurczęta, gołębie w sniegu (?) albo inne rzeczy najwyborniejsze i najbardziej wyszukane. Dalej podać należy siekaminę z drobin z piętami słoniny i kiełbasy, kawalkami królika i cie-jeia, piatkami cytryny i innymi dodatkami [...] Potem idzie potrawa z ryby, która winna być najlepsza, jaką akurat dostać można, a więc łosoś, węgorz albo dorada [...] Z kolei podać trzeba wety: zwyczajnie są to jaja po królewsku, a czasem galareta, do której wszakże, jako że to danie tańsze, trzeba dodać jeszcze jakies inne [...] Na koniec podaje się andruty i wykafaczki.”⁵

Alé, zaznacza Alarcón, stopień licencjata wypada jeszcze tamto w po-równaniu ze stopniem doktorskim; jest on ukoronowaniem studów uni-

wersyteckich i przynosi laureatowi godność szlachecką, toteż wiąże się z nim ceremoniał o tyleż wspaniały, co rujnujący.

W przeddzień uroczystości odbywa się *paseo* (przechadzka), w której obowiązani są wziąć udział wszyscy mistrzowie i doktorzy. W długim orszaku, który otwierają trębacze i dobosze, idą mistrzowie ceremonii, potem ciało profesorskie, uroczyście przystrojone w czarne birety z frędzlami, czarne szaty, obszyte białą koronką, i pelerynki, których barwa odróżnia poszczególne fakultety; mistrzowie sztuk wyzwolonych noszą pelerynki niebieskie, teolodzy — białe, lekarze — żółte, kanoniści — zielone, legiści — czerwone. Wreszcie, na koniu w bogatym rzędzie, ukazuje się kandydat, a towarzyszy mu scholastyk, rektor, pedele oraz doktor, który będzie jego promotorem; on sam przybrany jest w czarne aksamity lub jedwabie, przy boku ma szpadę i sztylet. Studenci, do których przyłączają się rzemieślnicy i mieszcianie, zamykają długi orszak, snujący się wąskimi uliczkami miasta, od domu laureata do uniwersytetu, gdzie przyszedł doktor urządzić ma ucztę i rozdać obecnym różne łakocie.

Nazajutrz od rana, w reprezentacyjnej sali uniwersytetu, jeden z mistrzów egzaminuje kandydata, po czym, zwyczajem niewątpliwie wzorowanym na złośliwych conceptach (*quodlibet*), jakie towarzyszyły w Rzymie wstępującemu na Kapitol triumfatorowi, koledzy świeżo upieczonego doktora zarzucają go uszczypliwymi, a nieraz bolesnymi szyderstwami z jego osoby i talentów, po czym dopiero panegiryk wygłoszony przez jednego z obecnych koi rany zadane jego miłości własnej. Orszak z uniwersytetu udaje się teraz do katedry, gdzie odbywa się akt ostatni: młody doktor otrzymuje od promotora insygnia swego stopnia uniwersyteckiego i biret doktorski, po czym wszedłszy na kazalnicę składa przysięgę i odczytuje początek ewangelii według św. Jana: *In principio erat verbum...*, której obecni wysłuchują klęcząc.

Gdy skończy się ceremonia, zaczynają się zabawy, a wśród nich figuruje, jak w programie każdego większego święta, *corrida*, w której paść musi co najmniej pięć byków. Na próżno papież Sykstus V, przypominając ekskomunikę, jaką rzucił w 1563 r. Pius V na duchownych, którzy brali udział w tych krwawych widowiskach, potępił raz jeszcze profesorów uniwersytetu salamanckiego, „zarówno z wydziału świętej teologii, jak prawa cywilnego, co nie tylko nie wstydzą się pokazywać na rzeczonych walkach byków, ale nadto ośmielają się twierdzić i nauczać w swoich wykładach, iż członkowie zakonów świętych nie popełniają w ten sposób żadnego grzechu...”, jednakże przywiązanie do tradycyjnego święta jest silniejsze. W odpowiedzi zwróconej do Sykstusa V — na której podpis złożył wraz z innymi brat Luis de León — wspólnota uniwersytecka prosi papieża, aby nie upierał się przy zakazie, który „przyniósłby szkodę spokojności i porządkowi w tym ośrodku nauki...”⁶

Uprzywilejowani przez los są również ci, których przyjęto do jednego z „wielkich kolegiów” (*collegio mayor*). „Wielkie kolegia”, które początkowo zakładał dostojny Koscioła i podobni ludzie w trosce, aby umożliwić ubogim młodzieńcom studia uwalniając ich od trosk materialnych, w drugiej połowie XVI w. sprzeniewierzała się swemu pierwotnemu zadaniu i nabierała charakteru coraz bardziej arystokratycznego, a to wskutek sposobu, w jaki odbywa się przyjmowanie członków. Z czasem obejmują one krąg coraz węższy, gdyż ich wychowanekowie, dziając solidarnie, starają się zmonopolizować dla siebie najlepsze stanowiska

Na szczycie tej hierarchii znajdowali się synowie magnackich rodów, którzy z liczną służbą zajmowali umyślnie w tym celu kupiony lub wynajęty dom; na przykład Gaspar de Guzman przybył do Salamanki w 1601 r. w towarzystwie guwernera, preceptora, ośmiu paziów, trzech pokojowców, czterech lokajów, kuchmistrza, stajennych i służących; na wykładach przybywał konno, w orszaku swoich ludzi, którzy czekali u bramy uniwersytetu, aby towarzyszyć mu w drodze powrotnej...

Uniwersytet w Salamance nierzaz nazywano „demokracją studencką”. Jednakże zasadnicza równość, zapewniająca wszystkim studentom te same przywileje i możność bezpośredniego wpływu na powoływanie profesorów, nie zapobiegata nierówności, której źródłem były ogromne różnice społeczne. Na drewnianych ławach sal wykładowych nie zasiadali sami tylko synowie szlachty i bogatego mieszczaństwa. Wiele ubogich rodzin za cenę największych wyrzeczeń stara się posiadać chłopców na uniwersytecie, aby mogli kiedys uzyskać beneficjum kościelne albo, jako *letrado*, zostać urzędnikiem. Choć wszyscy studenci nosili jednaki ubiór — krótką sutannę (*loba*) i czworokątną czapkę — materialne warunki ich życia były bardzo różne.

*
*
*

Młodemu doktorowi pozostaje już tylko obliczyć, jakie koszty pociągnęta za sobą jego wysoka święta otrzymana godność; niezależnie od bardzo wysokich sum wydanych na *corridę*, obejmowały one całą serię podarków, szczegółowo przewidzianych przez ustawy i tradycje uniwersyteckie: po pięćdziesiąt florenów dla scholastyka i promotora, dwie sztuki złota dla każdego z doktorów, po sto reali srebrnych dla pedana i notariusza szkół, do czego trzeba jeszcze dodać podarki w naturze: rękawiczki, worki cukru i po trzy pary kurcząt dla każdego, nie licząc siodła czy i jakoci rozdawanych podczas *corridy*. Są to tak znaczne wydatki, że nieraz kilku licencjatów otrzymujących tytuł doktora urzędującego stoseć równocześnie, aby wspólnie ponieść jej koszty; wtedy obowiązani są dostarczyć na *corridę* większą ilość byków, dziesięć albo i więcej...

kościelne i państwowe. Mają przy dworze swoich agentów (*hacedores*), wybranych spośród najbardziej wpływowych eks-kolegiantów, którzy popierają ich starania o beneficja kościelne lub wysokie urzędy, a w zamian za to umieszczają w „wielkich kolegiach” swoich krewniaków i protegowanych. W łonie danego uniwersytetu ci studenci tworzą odrębną grupę: gdy odbywa się wybór nowego profesora, wszyscy głosują na kandydata pochodzącego z ich grona; z wielką pogardą odnoszą się do studentów „małych kolegiów” (*colegios menores*), których liczba wzrastała w miarę, jak „wielkie kolegia” sprzeniewierzały się swemu celowi; ubóstwu ich ubioru, wbrew ustawom, które zabraniają studentom wszelkiego zbytku w stroju, przeciwstawiają dumnie wspaniałe płaszcze z wykwiłtowanego sukna lub jedwabiu.

Ale większość studentów żyje poza kolegiami i sama musi sobie radzić. Władze uniwersyteckie starają się przyjść im z pomocą, zwłaszcza w zdobywaniu mieszkań, sprawując dozór nad prowizorami, to znaczy nad kierownikami stancji, którzy mają oficjalne upoważnienie do ich prowadzenia. Statut wydany w 1534 r. w Salamance dyktuje nie tylko warunki materialne, ale nakazuje prowizorowi czuwać nad moralnością oraz prawami i przywilejami pensjonarzy: winien on zamykać co wieczór bramę o godzinie wpół do ósmej, obchodzić codziennie rano i wieczór ich izbę, aby upewnić się, że nikogo nie brakuje, sprawdzać, czy chodzą na obowiązujące ich wykłady, nie pozwalać im na bezpożyteczne rozmowy i dyskusje, a za to organizować ćwiczenia na tematy, które poruszają w wykładach ich profesorowie, a wreszcie surowo tępić grę w karty i w kości, w przeciwnym bowiem razie uniwersytet mógł cofnąć przyznaną mu koncesję.⁷

Jeżeli chodzi o wyżywienie, prowizorzy obowiązani są dawać codziennie każdemu studentowi funt mięsa, po pół funta na śniadanie i obiad, do tego przystawki, deser i „przystojną” ilość chleba oraz wina, nie licząc dodatków przewidzianych w dni uroczystych świąt.

Nie wiemy, czy przepisy dotyczące życia szkolnego i moralności były pilnie obserwowane i czy inne uniwersytety przewidywały równie obfite wyżywienie studentów. Pewne jest natomiast, że prowizorzy zdobyli sobie dobrze zasłużoną opinię „przekupniów” zupy, bardziej dbających o oszczędzanie na wiktuałach niż o doskonalenie młodocianych umysłów, i że dostarczali stałego tematu satyrycznej literaturze tego okresu. Quevedo z właściwą sobie werwą opisuje pobyt Pablosa z Segovii u jednego z nich, licencjata Cabry, zwanego „Post wigilijny”, szczególnie troszczącego się, aby stołownicy jego nie przeciążali sobie żołądków. „Po *Benedicite* podano w drewnianych czarkach rosół tak klarowny, że chcąc go wypić, Narcyz na większe wystawiłby się niebezpieczeństwo niż przeglądając się w wodzie. Zauważyłem, z jaką żarliwością wychudłe palce biesiadni-

ków wyłaziły z dna misek sieroce ziarna włoskiego grochu. Za każdym tykiem Cabra wykrzykiwał: — Nie masz to jak rosół; szkoda i mówić, bo wszystko poza nim jest tylko grzechem i łakomstwem. — A gdy posiłek zakończono, dodał: — Moje dziatki, poświęćcie sobie teraz ze dwie godziny, żeby zaś strawa ta was nie sparała...” Z pustym żołądkiem trzeba więc było odrabiać ćwiczenia, nakazane regulaminem. „Mnie przypało — mówi Pablos — objaśniać innym pierwszy rozdział rudymentów; ale byłem tak głodny, że połowę słów połżykałem.”⁸

„Pupile” mają przynajmniej dach nad głową i jakie takie wyżywienie, toteż są jeszcze w uprzywilejowanym położeniu w porównaniu z tak zwanymi *capigornistas*, to znaczy ubogimi studentami, którzy zamiast obszernego piaszczaka noszą zwyczajny piaszczyk, źle broniący ich od chłodu, i *gorra*, rodzący czapki, zamiast czworokątnego biretu. Zdobywanie żywności jest ich codzienną troską. Oczywiście, można czasem pomóc o pomoc rodziców — chociaż ci zazwyczaj już dobrze upuścili sobie krwi, aby wysiać syna na uniwersytet — i wtedy z niecierpliwością oczekiwac przesyłki. Ale takie gratki trafiają się rzadko; częściej trzeba się potoczać po doznany zawodzie, paląc list z domu, pełen dobrych rad, ale nie zawierający pieniędzy, i zaśpiewać wraz z kolegami *Paulina*, *padre Pater noster*: „Rodzice okrutni i dziocy, ojcowie, co nie przysyłacie chleba powszedniego, obyście co tydzień cierpieli nasz codzienny głód, i jak płońcie ten papier, tak niech w popioł obróca się pieniądze, które w waszych skrzyniach przechowujecie, nam ich odnawiając. Amen.”

Jeśli jeszcze inny sposób, do którego ucieka się pewien odłam biednych studentów: przyjął służbę u kolegi lepiej sytuowanego, zajmującego dom lub apartament, i dzieląc czas pomiędzy zajęcia gospodarskie a studia nad Arysototelesem i św. Tomaszem. Są i tacy, co żyją z dziewczynami z ober-ży lub kobietami lekkich obywateli, przy których mogą się przeżywić. W ostateczności student może jeszcze otrzymać „patent” na zebrać, gdyż jest to zawód objęty urzędowym regulaminem i Karol V oraz jego syn, Filip II, ustalili warunki, w jakich studentom wolno go uprawiać: „Studencki będa mogli zebrać za zezwoleniem rektora uniwersytetu, na którym odbywają studia, a jeżeli rektora nie ma, za zezwoleniem sędziwego duchownego diecezji, do której rzeczony uniwersytet przynależy.”⁹ Będa wówczas mieli prawo, jak inni zebrać, do *sopa boba*, „podłej zupy”, którą zakomnicy codziennie rozdzielają przed bramą swoich klasztorów, zaostroższy w pierw apetyt biedaków odmówieniem *Benedicite*.

„Ten studencki głód, pożerający i nigdy nie nasycony, związał się nie-rozłącznie z obrazami życia uniwersyteckiego, jakie przekazała nam ów-

czesna literatura. „Gdyby głód i krosty — powiada Cervantes — nie przyłgnęły tak mocno do studentów, nie znaleźć by życia przyjemniejszego i lepszej rozrywki, gdyż cnota i zabawa idą tu w parze i młodość zbiega na nauce i ucieskach.”¹⁰ Ale rozrywki pozwalają zapomnieć o głodzie: „Czyż istnieje życie lepsze od studenckiego — zapytuje Mateo Alemán. — Albo życie szczęśliwsze? Czy istnieje choćby jeden rodzaj uciesch, których studenci są pozbawieni? Gdy są pilni — znajdą sobie podobnych; gdy są marnotrawnymi synami — nigdy nie zabraknie im kompanów [...] Gdzie znaleźć można tylu i tak wybornych przyjaciół? [...] O słodki żywocie studenta! Błaznować w szatach biskupich¹¹; uczyć moresu sztubaków; kupować głosy w dni wyborów; tęgo wspierać swoich krajanów; zastawić całe mienie, gdy listy i pieniądze nie nadchodzą na czas: jedną rzecz u cukiernika, drugą u kupca korzennego; Dunsy Szkoty u sprzedawcy pączków, Arystotelesy u szynkarza; trzymać misiurkę pod siennikiem, szpadę pod łóżkiem, a okrągłą tarczę w kuchni, jako przykrywkę do wiadra [...] Nie ma takiego cukiernika, który by nam nie zborgował, gdy zabraknie grosza.”¹²

Otrzęsiny, przez które przechodzą nowicjusze — a które z pietyzmem przyjmuje i nowy uniwersytet w Alcalá — to zabawy o wątpliwym smaku, a czasem bardzo prostackie. Nowicjusza (*novato*), którego łatwo rozpoznać po braku pewności, z jaką nosi sutannę i czworokątny biret, otacza grupa „starych”, okazując mu niezwykłą serdeczność: „A więc przyszło nam opuścić tatę i mamę? A nie płakało się? [...] Cóż za wspaniała suknia! Czy aby mocna? — I próbują rozerwać rękaw. — A jaki biret ładny! — i biret wędruje z rąk do rąk, aż wreszcie, z załamanymi rogami, wraca na głowę właściciela, brutalnie wsadzony aż na uszy.”¹³ Ale jest to zaledwie początek; o dalszy ciąg otrzęsin (*novatada*) spytać należy Pablosa z Segovii: „Wszedłem na dziedziniec (uniwersytetu w Alcalá), a zaledwie tam stanąłem, wyrosło przede mną czterech żaków mówiąc: — Patrzcie, to nowy [...] — Roześmiałem się, aby myśleli, że się omylili, ale na próżno [...] Było ich dokoła mnie ze stu. Zaczęli sapać i po ruchu ich warg zrozumiałem, co się święci. Jeden z nich, zakatarzony, potężnie na mnie plunął. Zawołałem: — Dobry Boże, ty mnie [...] — Ale nie dali mi skończyć; spadła na mnie prawdziwa ulewa. Zakryłem twarz połą płaszczka, ale wszyscy wzięli mnie za cel, a mierzyli dobrze. Byłem upstrzony na białą od stóp do głów i przypominałem spluwaczkę starego astmatyka”. Temu procederowi *sacar nevado* (czynić białym jak śnieg), zaświadczonemu przez liczne źródła ówczesne, towarzyszyły inne żarty, jeszcze obrzydliwsze, i trwało to przez wiele dni. Wreszcie nowicjat kończył się uczta, którą nowo przybyły wydawał dla „starych”, i odtąd należał już do ich grona: „Wiwat nasz kamrat! Niech stanie się jednym z nas; niech odtąd korzysta ze wszystkich przywilejów przysługujących

starym; niech ma krosty i przymiera głodem, jak my wszyscy...”¹⁴ Od tej chwili bierze on udział we wszystkich rozrywkach i zwadach, w których lubuje się ten świat „miły, dzwaczny, niustraszony, wolny, zachowany, rozrzućny, diaboliczny i zabawny”, jakim, wedle Cervantesa, jest świat studentki.

Zazywa on nie tylko rozrywki, jakie przewiduje kalendarz uniwersytecki, bardzo zasobny w dni świąteczne, ale i takich, których regu-łamiy uczeni stanowco zabraniają; należą do nich karty, kości i, rozumię się, miłosne przygody, które — oficjalnie — uprawiać może tylko platonicznie, w postaci *galanteo de monjas*; w Salamance i innych uniwersytetach niektórzy studenci istotnie holdują kaznistyce miłosnej w klasztorach rozmównicach, których więcej było niż kolegów. Ale poza klasztorną klauzurą, w każdym miście uniwersyteckim nie brak dziewcząt o zasadach niezbyt surowych, które chętnie pocieszają studentów w troskach ich ciężkiego żywota. Choć względny te są sprzedajne, nie mniej często dochodzi do rywalizacji między młodzieżą, a nawet do pojedynków, bójek i morderstw. Nie jeden tylko Guzman de Alfarache ukrywał szpadę pod łóżkiem; wielu studentów, wychodząc nocą na miasto, pod sutannę wkłada koleczugę, a za pasem ma szpadę lub sztylet.

Innym źródłem zatargów jest rozmatłość „nacji”, to znaczy ugrupowań studentów zależnie od tego, z jakiej prowincji kraju pochodzą. Konfliktułatwo wybuchają podczas wyboru nowego profesora, gdyż każda „nacja” solidarnie opowiada się za swoim ziomkiem; najczęstszymi jednak ich powodem jest wzajemna pogarda i hojnie szatowane przytyki i szyderstwa.

Zaledwie dojdzie do bliżej chociażby sprzeczki pomiędzy studentami dwóch różnych nacji, za każdym stają jego krąjanie, tak że dochodzi do regularnych bitew, kończących się dopiero na widok wspólnego nieprzyjaciela, to znaczy strażników miejskich, przysięgłych wrogów studentkiej braci, tym zaciętszych, że cieszysz się ona przywilejami, które wyjmują ją spod kompetencji zwyczajnych sądów; daje to czasem pole do nadużyć, o jakich donosi na przykład w 1645 r. komisja królewska zwołana w celu zbadania sprawy: „Widzimy zapisanych w rejestrze uniwersyteckie międzyuczających lat ponad dwadzieścia, którzy nie mają chęci studiować i istotnie wcale nauką się nie parają; chcą tylko bezkarnie udawać junaków, życie prowadzą nieporządne i awanturnicze, przez co mogą psuć młodszych studentów.” Komisja proponuje więc zaciężenie kontroli, tak aby wszyscy immatrykulowani studenci uczęszczali na wykłady; znali facinę, w przeciwnym zaś razie aby podlegali koregidorowi, to znaczy jurysdykcji zwyczajnej — i traktowani byli jako wódcędzcy.¹⁵ Mieszkanie Salamanki, jak i Alcali, również często padają ofiarą tych wypraw. Wiedzą prawdzie, że niemal całe życie ich miasta związane

jest z istnieniem uniwersytetu, że ich drukarnie, księgarnie, bursy, handel prosperują tylko dzięki obecności mnogiej rzeszy studentów. Ale jak tolerować nie tylko kradzieże w sklepach — w sztuce tej Pablos z Segovii, odbywając studia w Alcalá, z dumą mieni się mistrzem — ale demolowanie domów, sprowadzanie dziewcząt na złą drogę i inne tego rodzaju „krotochwile”? Mieszczanie coraz to odwołują się przeciwko studentom do policji, a sąd — mimo słynnych *fueros*, jakimi chlubią się uniwersytety — nie waha się nawet wysłać na szubienicę paru prowodyrów, byle przywrócić porządek.¹⁶

Oczywiście, podobne wybryki oraz bezwzględne postępowanie władz, chcących przywrócić porządek, musiały przyczynić się do pewnego upadku życia uniwersyteckiego, jaki zaznacza się na początku w. XVII. Ale główne przyczyny tego upadku wiążą się z zagadnieniami intelektualnymi: przypomnijmy tu zamknięcie się Hiszpanii w sobie od czasów Filipa II, wrogi stosunek do wszelkich „nowinek” i powrót do metod i ducha scholastyki — po rozkwicie w pierwszej połowie XVI w. — a wreszcie coraz silniejszą konkurencję kolegów jezuickich, które przyciągają najwartościowsze elementy hiszpańskiej elity społecznej. Założenie kolegium cesarskiego w Madrycie w 1625 r., pomimo protestu Salamanki, Alcali i innych wielkich uniwersytetów, wydaje się w tej dziedzinie datą przełomową.

Minęła więc piękna epoka uniwersytetów, ale miejsce, jakie w dziełach największych pisarzy tego okresu zajmują obrazy z życia studenckiego, pozostaje najwymowniejszym świadectwem roli, jaką odegrały one w kształtowaniu się tych umysłów, które tak uświetniły Wiek Złoty.

II

W świat literacki wprowadzi nas najlepiej Lope de Vega, nie tylko z racji swego wyjątkowego geniuszu i płodności, ale też dlatego, że życiorys jego streszcza w sobie wszystkie blaski, a zwłaszcza nędze życia literata i ukazuje nam wszystkie pola bitew, na których toczyły się walki literackie tej epoki. Pozycja, jaką zajmowała osobistość tak niezwykła w społeczeństwie Wieku Złotego, rzuca poza tym ciekawe światło na niektóre choroby moralne całego organizmu społecznego.¹⁷

Feliks Lope de Vega Carpio, z rodziny niewątpliwie bardzo skromnej, pochodzącej z Montana (to znaczy z Asturii), nie oparł się przesądowi szlacheckim swojej epoki. Jakkolwiek jego ojciec był tylko „hafciarzem” (ściślej mówiąc, właścicielem pracowni hafciarskiej i z tego tytułu korzystał z przywilejów związanych z zawodem uważanym za szczególnie szacowny), Lope zapragnie później, kiedy już zacznie zdo-

bywać sławę literacką, dodać do niej nimb szlachetnego urodzenia, wiązać drugą część swego nazwiska z Bernardem del Carpio — bohaterem legendy hiszpańskiej i zwycięzcą Rolanda w ronsewalskim wąwozie — i przyjmując jego równie legendarny herb, zdobył dziewiętnastu wie-

zami.

Naukę rozpoznała jako jedenastoletni chłopiec w 1572 r. u jezuitów w Madrycie, a jego przedwczesna dojrzałość umysłowa jedna mu protekcję wysokiego dostojnika kościelnego, Hieronima de Manrique, późniejszego biskupa Kartageny; dzięki niemu młody Lope dostaje się do jednego z wielkich kolegów w Alcalá, collegium Santiaگو, i los jego wydaty się już przesądzone: zostanie duchownym i żyć będzie — jak jego antagonistą, Gongora — z jakiejś prebendy lub kościelnego beneficjum. Ale czy uczeszcza na wykłady uniwersyteckie? Nazwisko jego nie figuruje w spisach immatrykulantów, jakie zachowały się z tego okresu, i zapewne z życia studenckiego zna tylko swobodę, zwiazki ko-leżeńskie i zabawy, które tak zachwala Guzman de Alfarache. W każdym razie opuszcza Alcalá nie uzyskawszy żadnego stopnia uniwersyteckiego i przez parę lat, najmniej znanych w jego biografii, prowadzi zapewne awanturniczy żywot w gronie aktorów i aktorek; i tak zaczyna się jego kariera dramatopisarza i uwodziciela.

Odnajdujemy go w Madrycie w 1583 r., w grupie młodzieży tworzącej „cyganerie”, chciwą użycia, ale także przygód i sławy. Nadarza się okazja: przygotowuje się wyprawa na Azory, które nie uznają zajęcia Portugalii przez Hiszpanię. Lope de Vega zaciąga się wraz z kilkunastu wojstkami, ale powodzenie wyprawy nie zachęca go do obrania kariery lają je na deskach scenicznych. Dostarcza on Hieronimowi Velazquezowi „autorowi” (to znaczy dyrektorowi trupy aktorskiej), sztuk teatralnych, które jemu dają sławę, a Velazquezowi — pieniądze. Lope nie jest jednak w tym wypadku tak całkiem bezinteresowny: zaleca się do córki Velazqueza, Elieny (która ma wprawdzie męża-aktora, ale nie żyje z nim) i prawdopodobnie z pomocą jej matki bez trudu zdobywa jej względy. Nie na długo wszakże: korzystając z wyjazdu Lopego do Se-willi, Eliena znajduje sobie bogatszego i bardziej wpływowego protektora. Lope mści się: nie tylko zostaje stałym dostawcą sztuk Velazquezewego konkurenta, ale ponadto pisze satyryczne wiersze, w których okru-

tnie atakuje Elienę i jej rodziców:

Na licytację ciała swe wystawia dama

i choć milczący ojciec wdziki jej sprzedaje,

matka jak pod miotkiem cenę jej podaje,

więc temu, kto ją zechce, sprzeda siebie sama.*¹⁸

Ale aktorzy bronią się i oskarżają pisarza o zniesławienie. Lope zostaje aresztowany podczas przedstawienia w ich teatrze, gdzie przyszedł, aby z nich szydzić. Bezcelnie zaprzecza wszystkiemu, choć wszystko świadczy przeciwko niemu. Zapada surowy wyrok: ośmioletni „zakaz pobytu” w Madrycie i dwuletnie wygnanie z królestwa (to znaczy z obszarów podległych koronie kastylskiej).

Musi więc w dwa tygodnie wynieść się z Madrytu, ale przedtem popełnia jeszcze jedno ciężkie przestępstwo: porwanie. Lope zdążył się już bowiem pocieszyć po zdradzie Eleny i zakochać się w dziewczynie z mieszczańskiej rodziny, Izabeli de Urbina, którą rodzice ani myślą wydawać za gołego poetę. Zjednawszy sobie pomoc jakiegoś alguazila, który udał się do dziewczyny i „oznajmił jej, że ma iść z nim w imię świętej inkwizycji” — groźna formuła, której nikt nie ośmielił się opierać — Lope wywabił Izabelę z domu i wywiózł do Walencji. Było to wielkie ryzyko; za porwanie grozi kara śmierci i sprawiedliwość może ścigać przestępcę na terenie całej Hiszpanii. Trzeba więc uciekać. Niezszczęsna Izabela, w odmiennym stanie, wraca do Madrytu, ale przedtem jeszcze Lope upoważnia jednego z przyjaciół, aby w jego imieniu pojął ją za żonę. Gdzie ma szukać schronienia? Na szczęście cała Hiszpania przeżywa wówczas wielkie uniesienie religijne i patriotyczne: Niezwyciężona Armada, która ma złamać potęgę Anglii, gromadzi się w porcie Lizbony i zewsząd napływają ochotnicy, aby wziąć udział w tej wielkiej wyprawie. Decyduje się na to i Lope. Czyż nie jest to sposób, aby naprzód dać o sobie zapomnieć, a potem, wróciwszy w glorii zwycięstwa, starać się o amnestię, której nie odmówią przecież jednemu z tych, co sławą zwycięstwa okryli Hiszpanię?

Wyprawa miała przebieg zupełnie inny i Lope de Vega nie zdobył na statku „San Juan” takich laurów, jakie o piętnaście lat wcześniej przypadły Cervantesowi w bitwie pod Lepanto. Powraca więc, przekradłszy się przez Kastylię, do Walencji, do swojej żony Izabeli, tymczasem bowiem małżeństwo *per procuram* uwolniło go od oskarżenia o uprowadzenie. Walencja pasjonuje się teatrem i corral de la Olivera jest szczęśliwy, iż ma dla siebie tego „fabrykanta” sztuk, o ugruntowanej już sławie, on zaś korzysta w całej pełni z rozrywek, jakich mu dostarczyć może to miasto, które uchodzi za najweselsze i najbardziej rozbawione w całej Hiszpanii.

Mimo wszystkich uroków hiszpańskiego Lewantu wzdycha jednak do Kastylii. W 1590 r. wygasa wyrok wygnania poza granice „królestwa”; nie mogąc zamieszkać w Madrycie (skąd wygnano go na lat osiem), osiada w Toledo jako służący (*criado*) i sekretarz Francisca de Ribera, ale już w następnym roku udaje mu się zdobyć możniejszego protektora: Diego Alvarez de Toledo, księżę Alba, zabiera go do Alba de Tor-

mes, swojej siedziby. Alba jest małą miściną, ale pobliska Salamancka przyciąga tego eks-studenta z Alcalá jako ożywiony ośrodek uniwersytecki. Urządza tam częste wypadły i przeżywa parę miłosnych awantur. Zresztą w Alba de Tormes książę Alba utrzymuje mały dwór i pałacową „akademię”, gdzie jego domownicy urządzają turnieje poetyckie. Upiywa w ten sposób pięć lat, piodnych z literackiego punktu widzenia, po czym Lope, poróżniony z księciem, opuszcza jego rezydencję i wraca do Toledo. Wraca sam, gdyż Izabela właśnie umarta niedawno; ale spada na niego i drugi cios, bardziej może dotkliwy: po śmierci księżnej Katarzyny Sabaudzkiej, córki Filipa II, najpierw kazano teatrom przerwać działalność, a następnie, na usilne starania pewnej grupy teologów, zamknięto je definitywnie, uważając, że są szkołą niemoralności (1598).

Z czego więc miał żyć Lope? Nie mógł już sprzedawać swoich sztuk dyrektorom zespołów aktorskich, księgarze zaś płacą za dzieło zarówno prozaične, jak wierszowane śmiesznie mało. Musiał więc raz jeszcze szukać oparcia u wielkich tego świata; na szczęście Lope poznał księżną de Sarría (jest to późniejszy hr. de Lemos, protektor Cervantesa) i został jego sekretarzem, szczególnie od korespondencji miłosnej. Lope zamierza ponadto wyciągnąć korzyść z własnych miłosce, a raczej swoich nowej miłosnej komedii: zaleca się do Juany de Guardo, córki hurtownika, wyspecjalizowanego w dostawach żywności dla miasta Madrytu, bardzo bogatego, który mógłby sutyń posagiem zrekomensować przydatą pannę. Mimo oporu ojca, mało wrzliwego na piękno poezji, Lope, którego urokowi kobiety nie mogą się oprzeć, „finalizuje sprawę”, ale — niestety — teść nie zamierza wyplacić przyrzeczonego posagu. Co prawda, poeta szybko stara się powetować sobie braki Juany; nie mniej jeszcze trzy miesiące od zawarcia małżeństwa, a już pionie dla bezrobotnej aktorki Micaeli de Lujan, lat 27 lub 28; jest ona piękna, dowcipna, ale już ma męża, marnego aktorzyń, i troje dzieci. Lope jeszcze jej nie zdobył, gdy książę de Sarría każe mu towarzyszyć sobie do Walencji, gdzie mają się odbyć wielkie uroczystości z okazji zasubin Filipa III z Matgorzatą Austriacką. Wśród licznych zabaw, jak „walka Karnawału z Postem”, corridy, zawody i turnieje (gdzie Lope występuje, aby mową wierszowaną prezentować „paladynów” i wygłosić pa-negiryk na cześć monarchy), znajduje jeszcze czas, aby nie tyle zapomnieć o Micaeli, co usmierzyć swe gorące afekty — i z przelotnego związku z jakąś mieszkanką Walencji urodzi mu się syn, który potem wstąpi do zakonu.

Wraca do Toledo, a że mąż Micaeli właśnie wyjechał do Ameryki, ustępuje ona wreszcie bliżniom Lopego, który przez kilka lat będzie lawirował pomiędzy dwiema rodzinami, prawą i nieprawą, w obu pio-

dząc liczne dzieci. W 1600 r., gdy Filip III pozwolił znów otworzyć teatry, Micaela wyjeżdża na *tournee* i kochanek jej podróżuje za nią niejednokrotnie do Grenady i Sewilli, gdzie andaluzyjskie środowiska literackie przyjmują zazwyczaj z entuzjazmem najsłynniejszego z hiszpańskich dramaturgów. Nie brak jednakże i zazdrośników, którzy potępiają jego wiersze oraz, z większą słusnością, jego tryb życia. Na karcie tytułowej powieści *El peregrino en su patria* (Pielgrzym w swojej ojczyźnie) kazał wyryć słynny herb z dziewiętnastu wieżami Bernarda del Carpio, co wywołuje złośliwe dowcipy jego rywali na polu poezji, przede wszystkim Gongory:

Choć na twego herbu tarczy
wież na lodzie dziewiętnaście,
zetrzyjże je, Lope, waści,
bo ci lodu nie wystarczy.*¹⁰

Ponieważ wznowienie działalności teatrów pozwalało mu znowu handlować swoimi *comedias*, Lope de Vega porzuca służbę u księcia de Sarría, ale zaraz ofiarowuje mu się na protektora ksiązę de Sessa, młodzieniec lat dwudziestu trzech, wielbiący wiersze i kobiety z równą namiętnością, ale z mniejszym talentem niż nasz poeta; Lope więc stanie się na resztę życia jego „sekretarzem serca”; obowiązkiem jego będzie pisać w modnym wówczas przesadnym i sztucznym stylu listy do księżęcych przyjaciółek.

Tymczasem Lope zrywa z Micaelą de Lujan (pozostawiając ją z gromadą dzieci) i w 1610 r. osiada w Madrycie, gdzie przy calle de Francos kupuje domek z ogródkiem pełnym kwiatów. Znajduje się u szczytu sławy jako autor dramatyczny i poeta: „Zagarnął pod swą jurysdykcję — pisze Cervantes — wszystkich dramaturgów hiszpańskich”. Nie ma na półwyspie teatru, który nie grywałby jego sztuk, i wyrażenie „To Lope” (*es de Lope*), stało się przysłowiowym określeniem tego, „co najlepsze”. I oto poeta zaczyna jak gdyby oddalać się od świata, aby zbliżyć się do Boga: od 1608 r. przydaje do swego imienia tytuł „*familiar del Santo Oficio de la Inquisición*” i w tym charakterze weźmie udział, w 1624 r., w procesji wiodącej na śmierć „falszywego chrześcijanina”, któremu dowiedziono, że zbezcześcił hostię. Wstąpił ponadto w 1609 r. do bractwa Niewolników Najśw. Sakramentu, a w trzy lata później opublikował *Cztery monologi Lopego de Vegi i trzy, jakie wylał przed Ukrzyżowanym błagając Boga o przebaczenie grzechów swoich;*

* Przeł. K. Jeżewski. Gra słów niemożliwa do przełożenia: *torre de viento* (wieża z wiatru) znaczy tyle co *castillo en el aire* (zamek na lodzie). *Viento* znaczy wiatr, ale też coś, co pobudza ducha, natchnienie. Być może jest tu aluzja do wątpliwego szlachectwa Lope de Vegi, a także jadowita uwaga o wątpliwości jego talentu.

dzieło niezwykłej wagi dla każdego grzesznika, co chce porzucić swe grechy i nowe życie rozpocząć. Nowe życie? Śmierć jego prawowitej matzonki, nieszczęśliwej Juany, w 1613 r., daje mu po temu okazję. W r. 1614 postanawia zostać duchownym — ma lat 52 — i otrzymuje święcenia w Toledo. Ale tegoż dnia wprowadza się do nowej kochanki, również aktorki, Jeronimy de Burgos, którą poznał przed rokiem, na parę dni przed śmiercią Juany...

Wybuch taki skandal, że nowo wyświęcony ksiądz — który zresztą nie przestaje kierować „sercową” korespondencją księcia, a ponadto w tajemniczo go we własne przygody miłosne — nie może zrazu znaleźć sposobu wiednika. Po Jeronimie przychodzi kolej na inną aktorkę, Lucię de Salcedo, którą sam Lope w listach nazywa Szaloną (*la Loca*); choć nie piękna ani bystra, opanowuje poetę, który nie mogąc znieść rozstania, udaje się za nią do Walencji (pod pozorem odwiedzin u syna, zakonnik

ka), kiedy Lucia wyjeżdża na tournée. Od „Szalonej” uwalnia go dopiero jeszcze żarliwsza namiętność: w 1617 r. poznaje młodą, dwudziestostosześcioletnią Martę de Nevaras, zone nudnego starucha (a kimże jest on sam?) i matkę kilkorga dzieci. Marta jest młoda, wykształcona, pisuje wiersze i dochowuje — a przy najmniej stara się dochować — wiary mężowi. Pod osłoną swej duchownej szaty i godności Lope wciska się do jej domu, jako „przewodnik duchowy”... Wkrótce Marta jest w odmiennym stanie i na usilne prośby Lopego rozpoczyna przeciwko mężowi kroki rozwodowe, uwiechzone separacją od łoża i rozdziałem posiadanych dóbr. Mąż umiera, uznawszy wprzód ostatnio narodzone dziecko, a Marta wprowadza się na ulicę Francuzów, gdzie urodzi jeszcze dwie córki, córki nie tylko niepoprawe, ale i zrodzone ze świętokradczego związku, gdyż ich ojciec jest księdzem i regularnie odprawia mszę w klasztorze św. Magdaleny, co wytyka mu w okrutnym epigramacie Ruiz de Alarcón.²⁰

w piaszczu podobitym Martami udaje Magdaleny...*

A jednak siawa Lopego jest tak wielka, że opinia godzi się ze skandalami, i Lope bierze udział w największych uroczystościach. W 1620 r. władze miejskie Madrytu zapraszają go, aby przewodniczył turniejowi poetyckiemu dla uczczenia beatyfikacji jego patrona, św. Izzydora Oracza: najważniejszymi poeci hiszpańscy wystąpili w konkursie, gdzie wyróżnił się ten, który miał po Lopem odziedziczyć berło dramaturga — Calderon de la Barca. W dwa lata później San Isidro zostaje kanonizowany, następuje więc nowa seria uroczystości i konkurs literacki z udziałem

* Przekł. K. Jęzewski. Gra słów: *marta* znaczy po hiszp.: kuna, soból.

łem 132 poetów: pierwszą nagrodę otrzymuje Lope, dalsze miejsca Calderon i Guillén de Castro. W tym samym roku madryckie władze miejskie organizują dla uczczenia kanonizacji św. Teresy nowy turniej poetycki, który odbywa się w pałacu, w obecności króla i królowej: „Lope de Vega Carpio był sekretarzem konkursu — czytamy w madryckich *Nowinach* — i trudno powiedzieć coś więcej dla wyrażenia, że święto było pod każdym względem wielkie.”²¹ Dalsze honory zawdzięcza Lope papieżowi: Urban VIII mianuje go doktorem teologii w Collegium Sapientiae i nadaje krzyż jerozolimskiego zakonu Św. Jana...

Jest to wówczas, jak pisze jego biograf Montalbán, najbogatszy i najuboższy człowiek swojej epoki. Bogaty w dzieła literackie, których rozmaitość i obfitość są zdumiewające; biedny, gdyż dochody z tych dzieł zaledwie wystarczają mu na utrzymanie jego nieprawej rodziny, bowiem dyrektorzy trup teatralnych, borykający się z nędzą i często kończący swą działalność bankructwem, płacą mu bardzo nieregularnie za sztuki, które on sprzedaje im drogo! — po 500 dukatów; poza tym brak wszelkiej ochrony „własności intelektualnej” wydaje go na pastwę plagiatorów i rabusiów literackich: niejaki Luis Ramirez de Arellano, były student z Alcalá, obdarzony fenomenalną pamięcią, wyspecjalizował się w uczeniu się na pamięć jego utworów; słucha ich tekstu podczas paru spektakli, a potem przepisuje i sprzedaje. Lope na próżno zgłasza protest; fakt utrwalenia sobie w pamięci jakiegoś tekstu, powiadają sędziowie, nie może być kwalifikowany jako kradzież.

Trzeba więc szukać innych źródeł dochodu, toteż Lope kręci się nieustannie przy księciu de Sessa: to prosi o pożyczkę powozu, to o materiał na suknie dla córek, to znów o pieniądze, a chociaż słowa jego zazwyczaj brzmią godnie, rażą nasze poczucie przyzwoitości, gdy na przykład chciałby, aby ksiązę oficjalnie przyjął go na służbę jako kapelana, „tak żeby codziennie odprawiał dla niego mszę za niewielką opłatą”. Mamy dowody, że sam Lope czuł doskonale swoje poniżenie: dedykując synowi jedno ze swoich dzieł, pisze: „...jeżeli głos krwi namawia cię do tworzenia wierszy (od czego niech cię Bóg strzeże), dbaj pilnie, aby nie to było głównym twoim zatrudnieniem. Niech ja sam będę ci najlepszym przykładem, bo chociażbyś żył bardzo długo, nie wyświadczysz ojczyźnie tyle dobra, co ja, i nie będziesz zasługiwał na tyle nagród; a tymczasem, jak wiesz, mam tylko ubogi dom, ubogie łożo, lichy stół i mały ogródek, którego kwiaty pocieszają mnie w smutkach.”

Młody Lope nie wstępuje w ślady ojca. Poróżniony z nim, obierze karierę wojskową i zginie w Indiach Kastylijskich. Z pozostałych mu córek, oczywiście figurujących jako zrodzone „z ojca nieznanego”, jedna przyoblekła welon zakonny u trynitarek w Madrycie; druga, Maria Antonia, która wychowywała się jako jego siostrzenica, pozostała jego je-

dyną poetką, gdy jej matka, Marta de Nevaras, oślepiła, a następnie postaradała zmysły i umarta w 1632 r. Ale los nie dopuszcza, aby ten Don Juan, poeta-swiątokradca i uwodziciel, spokojnie dokonał żywota. W 1634 r. Marię Antonie, nie wbrew jej woli, porzywa Cristobal Tenorio de Villalta, jak niedgdyś jej ojciec porwał Izabelę de Urbina. W parę miesięcy potem (w sierpniu 1635 r.) ślubny Sw. Oficjum, Joannici i kongregacje księży madryckich poniosą na miejsce wiecznego spoczynku „Feniksa poetów”, Feliksa Lopego de Vega Carpio.

*
*
*

Fakt, że Lope de Vega, przez lat z górą dwadzieścia oficjalny dostawca wszystkich trup teatralnych Hiszpanii, wyżyć mógł tylko przy materialnej pomocy paru magnatów, dobrze charakteryzuje położenie pisarzy w tej epoce. Zaden z nich nie zdołał utrzymać się z pióra i ci, którym los nie pozwolił spotkać hojnego protektora lub też ciągnąc zysków z jakiegoś beneficjum czy urzędu kościelnego (np. Gongora był prebendarzem kapituły w Sewilli), musieli się imać zajęć niegodnych ich geniuszu: Cervantes był „dostawcą floty”, dzięki czemu, oskarżony o nadużycia, poznał się z więzieniami Sewilli, mniej zaszczytnymi niż algierska niewola, do której dostał się w okresie swojej żołnierskiej kariery.

Jednakże mimo nędzy literatów, na mocy jakiegoś dziwnego kontrastu, literatura zajmuje coraz ważniejsze miejsce w życiu Hiszpanii i zmierza ku temu, aby stać się „ogólną działalnością organizmu społecznego, w której uczestniczą wszyscy i która wszystkich dotyczy”.²² Odnosi się to w szczególności do poezji, którą parają się ludzie wszelkich kondycji, od magnata do studenta i zwykłego rzemieślnika, toteż w Hiszpanii roi się od poetów i wierszokletów w pogoni za ry-

mem — i wydawcą. Najpodatniejszy grunt, na którym rozwijać się może zamierzanie do poezji i dyskusji literackich, stanowią od końca XVI w. „akademie”, których ilość znacznie wzrosła w pierwszej połowie następnego stulecia. Korzystając zwykle z opieki jakiegoś możnego pana — samego króla w wypadku „akademii palacowej” — skupiają pisarzy, pieknochów, a także magnatów, którzy nie poprzestając na składanych im hołdach, sami nieraz próbują rymować. Każdy ubiega się tam o poklask, bądź czytając najnowsze swe utwory, bądź zresztą improwizując sonety, pieśni, romanse²³; jury rozdziela palmy wśród zwycięzców, ale, radzi Cervantes młodemu poecie, „ubiegaj się zawsze tylko o drugą nagrodę, bo pierwszą nadają kierując się sympatią tudzież znaczeniem danej osoby; druga przypada zasłudze”. Nie wszyscy słuchają tak rozumnych rad i nieraz zawiedzeni poeci mają pokojowy przebieg takiego tur-

nieju: „Wszyscy mówią mi jedynie o akademiach, gdzie współzawodniczy z sobą cała szlachta i wielu poetów — pisze w 1612 r. Lope de Vega do księcia de Sessa. — W Akademii Parnasu starli się poetycko pewien licencjat z Grenady, Soto, i słynny Luis Velez; doszło do zbrojnego spotkania i zasadzek pod drzwiami. Nigdy Mars nie okazał się tak srogim dla panien Muz...”²⁴

Słyszeliśmy już, na jaką skalę odbywały się zawody poetyckie zorganizowane z okazji kanonizacji św. Teresy i św. Izidora Oracza, przy udziale najsłynniejszych poetów hiszpańskich. Konkursy tego rodzaju towarzyszą stale uroczystościom urządzanym nie tylko w wielkich miastach, ale i małych miasteczkach. Estebanillo Gonzales opowiada, jak przejeżdżając przez aragońską wioskę, gdzie czyniono przygotowania do „bitwy Maurów z chrześcijanami”²⁵, zobaczył, przybite na kościelnych wrotach, „dwadzieścia cztery nagrody, jakie miały przypaść za dwadzieścia cztery najlepsze sonety opiewające piękność róży, która rano jest pączkiem, w południe zakwita, a wieczorem więdnie... Nagrodami były pasy, rękawiczki, sakiewki i jedna para kolorowych podwiązek. Gdy znaleźliśmy się przy tych akademickich trofeach, było tam już ponad dwadzieścia sonetów napisanych przez studentów lub zacne persony przybyłe na uroczystość”.

Prawdziwa poezja niewiele zyskiwała na tej namiętności do wierszowania, gdyż werbalna inwencja przeważnie brała górę nad natchnieniem. Ale właśnie owa pomysłowość znajduje wdzięczne pole do popisu w dwóch szkołach poetyckich, na jakie dzieli się, zwłaszcza w latach 1610 do 1650, literacki świat Hiszpanii: szkole kultyzmu i konceptyzmu; pierwsza z nich dąży do stworzenia oryginalnego języka poetyckiego, wzbogaconego o słownictwo i formy składniowe łacińskie, i poszukuje jak najbardziej wyrafinowanych i skomplikowanych środków wyrazu; druga, chcąc oddać całą złożoność idei i pojęć przez zestawianie wyszukanych porównań i antytez, nieraz przekraczała w końcu granice zdrowego rozsądku.

W rezultacie konceptyzm i kultyzm dochodzą do wyników mniej więcej identycznych: do stworzenia języka sztucznego, świadomie oddalającego się od mowy potocznej; odznacza się on hermetyzmem i przesadną wytwornością. Toteż walki, jakie staczają z sobą zwolennicy tych dwóch szkół, oraz ataki ich wspólnych wrogów nie byłyby tak zacięte, gdyby zazdrość i konkurencja nie dołączyły do nich swoich oskarżeń i obelg osobistych. Nigdy *genus irritabile vatum* nie objawił tyle jadu, co w literaturze Wieku Złotego, gdzie polemika zajmuje dużo miejsca zarówno w prozie, jak w poezji. Lope de Vega, którego życie prywatne daje wdzięczne pole złośliwościom, często atakowany, nie pozostaje dłużny odpowiedzi, mierząc zwłaszcza w Gongorę, uznanego mistrza kulty-

zmu od chwili ukazania się jego *Solidades* (1614 r.). Lope, parodiując styl *culto*, zarzuca Gongorze, że jest „katem słów”:

Inez, twe piękne mordują mnie oczy
Od smutnego, gdy ciebie ujrzę, dnia,
Pośród mezarzni, z twej winy, srogich.

Jeszcze zjadliwszym okazuje się Quevedo, atakując osobę „preben-darza” z Sewilli i oskarżając go, że mimo swej duchownej godności jest pozornie tylko nawróconym żydem:

Posię ci me wiersze łojem omaszzone,
Bys skosztować ich nie mógł, miły mój Gongora...

Jednakże pomimo ataków wymierzonych w mistrza i jego uczniów, zło krzewi się coraz bujniej i nie ma wierszoklejt, który nie starałby się zaciąć rywali wyrafinowanym słownictwem i niezrozumiałą głęboką utworów. W aragońskiej wiosce, gdzie zatrzymał się w drodze, Estebanillo Gonzales na próżno usiłuje zgłębić sens sonetów napisanych tam konkurs poetycki, aż wreszcie zwraca się do jednego z obecnych tam studentów, pytając, czy ułożono je w języku chaldejskim czy aramejskim. „Na co on odparł, iż nie potrafiłby na to odpowiedzieć; sam napisał sonet, owoc własnego geniuszu, za który ma nadzieję otrzymać pierwszą nagrodę, ale gdyby zechciał mi wyjaśnić jego znaczenie, nic by z tego nie wyszło, bo jedyną rzeczą, jaka liczy się w naszych czasach, jest gongoryzować z nadętą elegancją, tak aby niczem nadać pozory wielkości i starać się, aby nikt nic z tego nie pojął: ani autor, co rzecz tę napisał, ani ciekawscy, co ją czytają. Poeta bowiem, który by się ponizył do banału i po prostu nazywał chleb — chlebem, a wino — winem, straciłby wszelką reputację i mógłby już tylko pisać piosneczki dla ślepców.” Wobec tego Estebanillo postanawia również stanąć do konkursu i na stole w gospodzie, gdzie się zatrzymał, pisze sonet w modnym stylu:

Kość sioniowa biała, feniks wspaniałości,
Drzący pączuszek, bujna tajemnica,
Szafiry kuszone gronostajem liła,
Pioropusz blasku nad tronem zwiewności.* 28

Potem umieszcza go na drzwiach kościoła. „Zaledwie to uczyniłem, nadbiega ciżba wielka, ciekawie czyta i, wysławiając sonet pod niebiosy, jako że nic ani w ząb nie pojęła, ponad trzydzieści kopii jego sporządza; obecni tam sędziowie akademii przyznali mi w nagrodę podwiązki, o któ-

rych już wspominałem, co zjednało mi reputację drugiego Gongory...”

Ludzie „rozsądni” oczywiście oburzają się na wymyślny język, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych: „I cóż, panie, powiedzielibyście — mówi jedna z postaci przedstawionych w *Przewodniku dla cudzoziemców* — o stylu, jaki wynaleźli ci pisarze, tak trudnym i niejasnym, że niełatwo trafić na człowieka, który by go zrozumiał, bo wbrew wszelkim regułom dawnego języka umieszcza on rzeczownik o dwie mile od przymiotnika, a podmiot o dziesięć wierszy od orzeczenia... Tym szyfrowanym językiem, naszpikowanym z hiszpańska przyprawionymi wyrazami greckimi i łacińskimi, ludzie ci wreszcie, za jakie pięćdziesiąt lat, zamącą czystość naszej kastylijskiej mowy albo zmuszą rzeczpospolitą, aby bądź zakazała rozpowszechniać ich pisma, bądź też wydała nowy słownik.”²⁷

A ponieważ akademie nie miały przyczyniły się do tych wybryków, „akademia komiczna”, która w 1637 r. zbierała się w pałacu Buen Retiro, parodiując styl rozporządzeń królewskich, napiętnowała poetycką hipertrofię, na jaką cierpiał kraj, i wyszydzała obyczaje i zawiści literackiego środowiska:

„Don Apollo, z łaski poezji król Muz, księżę Jutrzenki, hrabia i pan wyroczni w Delfach i na Delos, księżę Pindu i arcyksiężę obu zboczy Parnasu, wszystkim poetom epicznym, lirycznym, tragicznym, komicznym, dytyrambicznym, dramatycznym etc.... pozdrowienie i zgodę.

Podaje się do wiadomości, iż znając wielkie nieporządki i utrapienia, w jakich żyją ci, co władają naszymi rymami i wierszami, i wiedząc, jak wielu jest takich, co to, Boga się nie bojąc i o czyste sumienie nie dbając, komponują, piszą i układają wiersze kradnąc i łupiąc, dniem i nocą, styl, myśli i sposób pisania swoich poprzedników, przerabiając fragmenty zapożyczone u innych i dopuszczając się wszelakich szacheerek i łajdactw na ich wierszach, a pragnąc temu zaradzić, niniejszym polecamy i rozkazujemy:

Po pierwsze: aby wszyscy pisali w mowie kastylijskiej, nie wprowadzając słów obcych, a kto zastosuje w swoich wierszach zdania albo hiperbole dziwaczne i niedorzeczne, ma być przez akademików pozbawiony godności poety, w razie zaś recydywy skonfiskowane mu zostaną wszystkie wiersze.

Item, aby poeci najstarsi podzielili się obowiązkiem dawania jałmużny sonetów, pieśni, rond i romanc oraz wszelkich gatunków poezji lichym poetom i zbierali po ulicach tych, których powaliła choroba albo co utracili rozum komentując *Soledades* Don Luisa de Gongora, a ponadto, aby u wrót Akademii wydawano zupełną sporządzoną z nadmiaru wierszowanych utworów, jakie się tam znajdują.

Item, aby dzieła poetyckie w stylu mauretańskim ochrzczone zostały do dni czterdziestu, pod karą wygnania z granic królestwa.

Item, aby poeta, który przyjmie służbę u wielkiego pana, umarł tam właśnie z głodu.

Item, aby żaden poeta nie ośmielił się mówić źle o innych częściach niż dwa razy w tygodniu...”²⁸

Lecz i protesty, i złośliwe żarty okazały się bezsilne wobec mody literackiej, która opanowała całą twórczość pierwszej połowy tego stulecia i nie oszczędziła nawet tych, którzy, jak Quevedo, najostrezej ją atakowali. Wbrew humorystycznej „pragmatyce”, wydawanej przez Akademię Pałacową, poeci nadal głodowali, szukali protekcji możnych i atakowali się wzajemnie.